

Profesor

Jerzy Ignacy Skowroński

Jerzy Ignacy SKOWROŃSKI ur. w 1901 r., w Humaniu. Delegat rządu ds. uruchomienia dolnośląskiej energetyki od początku kwietnia 1945 r., prof. Politechniki Wrocławskiej od kwietnia 1946 r., dr n.t. 1936 (PW); kierownik Katedry Techniki Wysokich Napięć (1946–1970); dziekan Wydziału Mechaniczno-Elektrotechnicznego (1946-1948), pierwszy dziekan Wydziału Elektrycznego (1948-1950), dr h.c. PWr., czł. założyciel i wieloletni prezes WTN, czł. Towarzystwa Rozwoju Ziemi Zachodnich, czł. rzeczywisty PAN (1964), czł. założyciel wrocławskiego oddziału SEP, członek honorowy SEP (1975), czł. Międzynarodowego Stowarzyszenia Wielkich Sieci Elektrycznych (CIGRE) od 1930 r., członek Polskiego Komitetu Elektrotechnicznego współpracującego z Międzynarodową Komisją Elektrotechniczną (IEC) od 1924 r. Inicjator i pierwszy dyrektor Wrocławskiego Oddziału Instytutu Elektrotechniki. Inicjator budowy (1948 r.) gmachu Wydziału Elektrycznego przy pl. Grunwaldzkim. Twórca *Wrocławskiej szkoły naukowej materiałoznawstwa elektrycznego i elektrotechnologii*. Wypromował 18 doktorów nauk technicznych, z których 12 uzyskało tytuł profesora. Autor ponad 100 publikacji, w tym 5 podręczników, np. *Poradnik Materiałoznawstwa Elektrycznego* PWT, 1959, (26 współautorów, ponad 1000 stron 3 wydania). Za działalność patriotyczną i udział w kampanii 1920 r. odznaczony Krzyżem Niepodległości. Laureat państwowej nagrody I stopnia (1984), nagrody naukowej miasta Wrocławia (1966), posiadacz tytułu Budowniczego Wrocławia. Inne ważniejsze odznaczenia: Order Sztandaru Pracy I kl. (1984), medal za wybitne zasługi dla Politechniki Wrocławskiej (1971), Medal Komisji Edukacji Narodowej. Medal im. Pożaryskiego (SEP), Medal im. Kopernika (PAN).



Wrocław, 27.01.1977r.

Wspomnienie i refleksje na temat historii uczelni

Wspomnienia i refleksje na tematy historii przeżytej osobiście mają zawsze charakter głęboko subiektywny, i nie może być inaczej. Subiektywne podejście sugerują zresztą pytania stawiane w ankiecie, subiektywne będą odpowiedzi na obie części ankiety. Jednak subiektywizm nie oznacza braku sprawiedliwej oceny faktów, tylko kąć widzenia oglądanej rzeczywistości. Aby wyjaśnić wiele już dziś zapomnianych bądź i pomijanych zjawisk z owych już tak odległych w naszej świadomości czasów, będę musiał być miejscami rozwlekły i gadatliwy, za co przepraszam.

A więc zaczynam od pytań natury osobistej.

1. Zaczynałem studia na Politechnice Warszawskiej w niezmiernie trudnym okresie dla Polski, w 1919 roku. Wybór kierunku - elektrotechnika - był raczej przypadkowy. Z Ukrainy, z Humania, gdzie się urodziłem i mieszkałem do 1918 r., znałem rodzinę inż. Romana Podoskiego, profesora od początku lat dwudziestych w Politechnice

Warszawskiej.

I to był jeden z bodźców. Natomiast technikę wysokich napięć, a potem materiałoznawstwo elektrotechniczne wybrałam w pełni świadomie. W wysokich napięciach pociągał mnie urok, patos zjawisk i konstrukcji wysokonapięciowych. Jeszcze jako student trzeciego roku zgłosiłem się do profesora Kazimierza Drewnowskiego z nieśmiałą prośbą o zatrudnienie w jakimkolwiek charakterze przy laboratorium wysokich napięć.

Si parva licet comparara magnis - jak ubogi introligator Faraday do znakomitego uczonego Davy'ego. Zostałem z miejsca przyjęty /wówczas te rzeczy szybko się załatwiało/ na pół etatu młodszego asystenta, w grudniu 1923r. I i wyboru do dziś nie żałuję. Moją pasją wtedy stało się zarządzanie laboratorium - jakże wówczas ubogiego! Siedziałem w katedrze od rana do późnego wieczora, wyskakując tylko na obiad do stołówki przy ul. Koszykowej. Godzin pracy się nie liczyło, bo zajęcie sprawiało zadowolenie. „Szef” nie kontrolował czasu pracy, omawiał wyniki, zostawiając dużą swobodę w rozwiązywaniu zagadnień.

Tę szkołę i ten stosunek kierownik - /profesor/ i podwładny - /asystent/ uważam za doskonałą pod jednym warunkiem: pracownik nie może czuć się wyrobnikiem, a współtwórcą. Musi być zainteresowany wewnątrznie pracą, musi ją lubić, przejmować się jej wynikami jak swoim dorobkiem.

Zawsze też w przyszłości mając już własnych uczniów, starałem się wpoić im to podejście do pracy naukowej; rób to, co ci sprawia satysfakcję, podejmuj temat, który cię bawi, jeżeli tracisz serce do swojej pracy, to ją rzuć! Inaczej zamiast badacza staniesz się katorżnikiem albo - co gorzej – biurokratą! I sam, przyznaję się bez skruchy, podejmowałem w życiu takie prace, które mi sprawiały przyjemność. I wtedy mogłem mieć dobre wyniki, w przeciwnym razie niepowodzenie i niezadowolenie z samego siebie. Z żalem stwierdzam, że wśród przedstawicieli najmłodszego - już trzeciego pokolenia naukowców - rzadko spotykam taki stosunek do pracy. Potwierdził mi to niedawno profesor Groszkowski, jak go odwiedziłem w jego pracowni - tej samej co przed 40 laty - i wspominaliśmy „les bons vieux temps”: wieczorem w Gmachu Elektrycznym poza nami nie było nikogo, a za „naszych” czasów to się nie zdarzało, zawsze ktoś siedział i coś dłużał przy swojej robocie do późnych godzin wieczornych. Nie mogę stwierdzić, żeby dziś nie było wśród młodszych pracowników naukowych również zapaleńców, zwłaszcza w pokoleniu obecnych moich następców. Może tu działać dobór naturalny: niedobrani wykruszają się, pozostają tylko ci, którym ten

styl życia i ethos pracownika nauki odpowiada więcej, niż efekty kariery materialnej.

Z moim szefem, profesorem Drewnowskim, pozostałem przez cały czas związany służbowo jako asystent, potem adiunkt /jedeny w katedrze/, aż do jego aresztowania przez Niemców w 1940 roku, kiedy objąłem po nim opiekę nad zakładem i Elektrotechnicznym Oddziałem, powołanej przez okupanta wyższej szkoły technicznej /prowadzonej zresztą poufnie w ramach programu politechniki/.

Zawdzięczam memu Kierownikowi i Nauczycielowi przede wszystkim dążenie do ścisłego formułowania swych myśli, poprawności językowej i formalnej wypowiedzi. Jednym słowem nauczył mnie pisać i czytać napisane.

Byłem związany z Politechniką Warszawską ponad dwadzieścia lat bez przerwy, z perspektywą objęcia następstwa w kierownictwie katedry w najbliższych latach. Wymaga paru słów uzasadnienia, dlaczego przeniósłem się do Wrocławia. Mój zamiar przeniesienia się z Warszawy do Wrocławia powstał jeszcze przed końcem wojny, a dojrzał, kiedy w styczniu 1945 roku obejrzałem dosyć dokładnie ogrom zniszczenia Warszawy.

Miałem możliwość objechać na ciężarówce wojskowej z patrolem żołnierzy radzieckich wszystkie najważniejsze obiekty i dzielnice Warszawy, jeszcze niedostępnej dla cywilnej ludności. To, co zobaczyłem, było przerażające, do dziś nie mogę tego koszmaru zapomnieć. Byłem tak zgnębiony, że postanowiłem nie wracać do Warszawy, której nie było i do zniszczonej politechniki. Nie wyobrażałem sobie, aby moje pokolenie dożyło odbudowy.

Od września 1944r tj. od zajęcia Pragi przez wojska radzieckie i objęcia władzy przez K.R.N., - byłem zatrudniony w Resorcie Przemysłu jako radca. W kwietniu 1945 r. front posunął się na tereny Śląska i stało się aktualne organizowanie grup operacyjnych na teren Dolnego Śląska. Otrzymałem z Ministerstwa Przemysłu delegację z poleceniem udania się do Katowic, gdzie Grupy Operacyjne były kompletowane.

Sentyment pracownika naukowego spowodował, że zgłosiłem się również do Ministra Oświaty, profesora St. Arnolda, który 16.04.1945r. wystawił mi delegację do Wrocławia, w której polecał współdziałać z ekipą, organizowaną w Krakowie, a mającą objąć uczelnie wrocławskie natychmiast po wyzwoleniu Wrocławia. Pojechałem więc najpierw do Krakowa i tam odszukałem w Uniwersytecie pokój, w którym urzędował kierownik grupy. Przyjął mnie starszy pan o nieco ormiańskim profilu, przeczytał moje podpisane przez ministra skierowanie z nieukrywanym niesmakiem i powiedział: „, My do wrocławskich uczelni kompletujemy zespół pracowników naukowych, zasadniczo ze Lwowa. Nie mogę się

jeszcze zorientować, czy może pan liczyć na miejsce. Zobaczymy później."

Na takie dictum wyszedłem bez słowa, pojechałem do Katowic i już 30 kwietnia z całą grupą operacyjną, kierowaną przez Bochenka-Iwańskiego przez Trzebnicę /Wrocław był oblężony/ dotarłem do Legnicy, mając jako jedyny instrument dwujęzyczną legitymację Pełnomocnika do spraw energetyki, podpisaną przez podpułkownika Szyra. Miałem za zadanie zorganizowanie Zjednoczenia Energetycznego Okręgu Dolnośląskiego, przez przejęcie działających na tym terenie 8 towarzystw akcyjnych i komunalnych /miejskich/ z 36 elektrowniami, kilkunastu gazowniami i kilkunastu tysiącami kilometrów linii wysokiego napięcia, przeważnie znacznie uszkodzonych skutkiem działań wojennych, Zadanie było niemal beznadziejną, ale porywającą, a na entuzjazmie nam nie zbywało. Dość powiedzieć, że wkrótce powołane /01.06.1945/ Zjednoczenie /ZEORK/, którego zostałem naczelnym dyrektorem było na tyło prężne, że już w grudniu 1945 r. mogliśmy zorganizować konferencję naukowo-techniczną pod nazwą „Zjazd Energetyków Dolnośląskich ” z powielanymi referatami i gośćmi z całej Polski.

Jednak nie sądzone mi było pozostać w resorcie energetyki. W lutym i marcu 1946 r. miałem pewne kontrowersje z czynnikami politycznymi. Dyrektor Centralnego Zarządu Energetyki, inż. Latour, odwiedził mnie w Jeleniej Górze i wytłumaczył po koleżeńsku, że „stanowisko naczelnego dyrektora zjednoczenia to nie jest stanowisko techniczne, ale polityczne." Wobec tego musiałem ustąpić, ze szczerym żalem, bo właśnie wszystko zaczęło naprawdę dobrze się „rozkręcać".

We Wrocławiu zostałem przyjęty przez prof. Idaszewskiego z otwartymi rękami. Nie było tak dużo ludzi w tej lwowskiej ekipie, jak przypuszczał organizator w Krakowie. Prorektor ds. Politechniki, prof. Sucharda przyjął nas z prof. Idaszewskim niezwłocznie, był ujmująco uprzejmy - jak to miał w swoim zwyczaju, i niezwłocznie wystąpił z wnioskiem o powołanie mnie na stanowisko profesora nadzwyczajnego, Kierownika Katedry Wysokich Napięć. I tak się zaczęło we Wrocławiu.

A zaczynać znowu trzeba było od bardzo małego. Jeżeli chodzi o bezpośredni warsztat pracy, tj. katedrę, to w spadku po profesorze Böningu pozostały trzy nieduże pokoje w Gmachu Elektrycznym, transformator antyczny 2 x 100 kV i mały generator udarowy do 250 kV. Nie wyobrażałem sobie, że profesor uczelni niemieckiej mógł w takich warunkach pracować. Miejsca było wówczas dużo w Politechnice. Ulokowałem więc - za przychylną zgodą rektora Suchardy - Katedrę Wysokich Napięć w Gmachu Głównym, w pokojach 130-133 i w suterenie, a z nie użytkowanej sali gimnastycznej zrobiło się halę wysokich napięć.



Było to prowizorium i zacząłem planować budowę nowoczesnej hali wysokich napięć i laboratoriów. Poza tym koniecznością stawała się budowa nowego gmachu elektrycznego, bo zamierzałem oddzielić elektrykę od mechaniki. Mogłem o tym myśleć serio objąwszy stanowisko dziekana, co wkrótce nastąpiło w roku akademickim 1946/47. Prowizoryczne powołanie na profesora nadzwyczajnego otrzymałem od rektora Uniwersytetu i Politechniki jako pełnomocnika Ministra Oświaty i Szkolnictwa Wyższego, wkrótce potwierdzone przez ministra. Jak wiadomo, Politechnika zaczęła funkcjonować w październiku 1945 r. z niewielu wydziałami, m.in. wydziałem Mechaniczno-Elektrotechnicznym, na wzór Politechniki Lwowskiej. Dziekanem Jego został profesor Idaszewski. Liczba członków Rady Wydziału była niewielka: Idaszewski /Miernictwo Elektryczne/, Sąsiadek /Maszyny Ciepłe/, Jellonek /Radiotechnika/, Dworzak /Odlewnictwo/.

Poza tymi samodzielnymi pracownikami naukowymi w 1946 roku zastałem jako pomocniczych pracowników naukowych – adiunkta Chowańca, Kordeckiego i asystentów, m.in. Orzeszkowskiego. Nie było jak widać nadmiaru pracowników naukowych. Wprost przeciwnie. Sytuację pogarszał fakt, że po drodze dla przesiedleńców ze Lwowa leżały Gliwice, gdzie również organizowała się politechnika, a która w bardzo operatywny sposób kaptowała jadących do Wrocławia pracowników Politechniki Lwowskiej m.in. ogromną stratę ponieśliśmy w osobie profesora Fryzego /elektrotechnika teoretyczna/, którego zatrzymały Gliwice oferując mu warunki, jakich sobie życzył /podobno warunkiem najważniejszym była obórka dla krowy, z którą prof. Fryze nie chciał się rozstać/. W odróżnieniu od Gliwic Wrocław nie zadawał sobie większego trudu w organizowaniu warunków mieszkaniowych dla przybywających pracowników. Odczułem to bardzo dotkliwie przy przenosinach z Jeleniej Góry do Wrocławia w 1946 roku. Może w następnych latach stosunki uległy pewnej poprawie, ale obojętność władz uczelni i politycznych dla spraw mieszkaniowych pracowników naukowych trwała długie kadencje rektorskie.

Organizacja uczelni szła starym trybem przedwojennym: kadencja dziekana trwała rok, wybory odbywały się przed rozpoczęciem roku akademickiego. W wyborach, które odbyły się w sierpniu zostałem wybrany dziekanem wydziału Mechaniczno-Elektrotechnicznego. Pierwszą troską było oczywiście kompletowanie kadry nauczającej i zorganizowanie normalnego naboru kandydatów na I rok studiów, a następnie przygotowanie do rozdziału elektrycznego i mechanicznego na dwa odrębne wydziały, bo system lwowski był niewątpliwie bardzo przestarzały, w Politechnice Warszawskiej zarzucony w 1922 roku.

Zostałem skład Rady Wydziału Mechaniczno-Elektrotechnicznego /w kwietniu 1946r./ skromny: K.Idaszewski /dziekan/, profesorowie: W.Ślebodziński i M.Sąsiadek i zastępca profesora A. Jellonek.

W roku 1947 kadra dydaktyczna już była mocniejsza:
Profesorowie zwyczajni: K.Idaszewski, W.Günther, W.Ślebodziński;
Profesorowie nadzwyczajni: A.Jellonek, E.Dworzak, E.Kuczyński,
J.I.Skowroński, M.Sąsiadek;
Profesorowie kontraktowi: C.Kanatojski, S.Ochęduszko, F. Bilek
Zastępcy profesora: S.Bodaszewski, J.Kożuchowski, P.Nowacki,
Z.Szparkowski, K.Dyba;
Adiunkci: J.Biskupski, Z.Błaszkiwicz, W.Chowaniec, A.Kordecki,
R.Kurdziel,

W. Około-Kułak, J.Sabiński, M.Zdanowicz, Z.Żyszkowski.

Pracowników naukowych ściągnaliśmy, skąd się dało:

- z przemysłu /Dworzak, Biskupski, Błaszkiwicz, Żyszkowski/,
- z energetyki /Bilek, Kożuchowski/,
- z resortu łączności /Szparkowski/.

Pod względem „pochodzenia” bynajmniej nie było przewagi kolegów lwowskich, o co się tak troszczył organizator ekipy w Krakowie. I muszę stwierdzić, że **problem „dzielnicowości” w naszym środowisku w ogóle nie istniał**, choć w okresie międzywojennym w świecie pracowników naukowych bywał niekiedy przyczyną wzajemnych uraz i kłótni...

W pierwszym roku akademickim działania Uniwersytetu i Politechniki tj. 1945/46 na studia na Wydziale Mechaniczno-Elektrotechnicznym zgłosili się kandydaci z różnych stron, z niedokończonymi lub przerwanyimi studiami z różnych uczelni, ale przeważnie z Politechniki Lwowskiej, z różnych lat, którym należało umożliwić uzyskanie dyplomu w możliwie najkrótszym czasie /A. Maison, Z. Orzeszkowski/. Byli też studenci ze „stażem” obozowym /T. Sulima - Oświęcim, Gross Rosen, Buchenwald/. Prawidłowa organizacja studiów była trudna zwłaszcza z powodu braku profesorów. Nawet indeksy otrzymali dopiero w 1947 roku. Pierwsze przyjęcia normalne na I rok studiów na wydziale zorganizowaliśmy w październiku 1946 r.

Immatrykulacja odbyła się uroczystie dla wszystkich kandydatów zgromadzonych w jednej z większych sal na I piętrze w gmachu głównym. Studentów sprawnie wymustrował i ustawił w kolumnie wybrany przez nich starosta, Stanisław Leśków, wówczas jeszcze w mundurze wojskowym. Prorektor Sucharda nie uczestniczył w uroczystości, /rektor Uniwersytetu i Politechniki nigdy do nas nie zaglądał/. Immatrykulację przeprowadził więc dziekan w mojej osobie w asystencji prodziekana E. Kuczyńskiego /oddział mechaniczny/ i prof. K. Idaszewskiego /oddział elektryczny/, Gaudeamus odśpiewano pod batutą adiunkta A. Kordeckiego - bardzo składnie. Immatrykulowało się wówczas 202 studentów, po mniej więcej stu na każdy kierunek - mechaniczny i elektryczny. Dziekanat działał sprawnie i matrykuły były wszystkie na czas gotowe, pomimo wielkich trudności rzeczowych i małej obsady personalnej - jedyna „dziekanka” p. Maria Wyzgowa.

Była to pierwsza uroczysta zbiorowa immatrykulacja na Politechnice, z pełnym kompletem kandydatów przewidzianych do naboru na studia. W pierwszym roku funkcjonowania uczelni tj. 1945/46 rocznik pierwszy był, jak wspominałem, nieliczny i przypadkowo skompletowany, nawet w ciągu roku 1945/46 przybywali z wojennej diaspory nowi kandydaci, których trzeba było oczywiście przyjmować.

Warto przypomnieć w tym miejscu, że pierwsi absolwenci kursu od I semestru otrzymali dyplomy na Wydziale Elektrycznym w 1950 r. Dnia 9 lipca był egzamin dyplomowy, który zdawało 13 absolwentów, a wręczenie dyplomów odbyło się uroczystie dnia 22 lipca 1950r. wraz z wmurowaniem kamienia węgielnego pod Nowy Gmach Elektryczny. Na akcie erekcyjnym, poza przedstawicielami władz, podpisali się też pierwsi absolwenci wydziału /m.in. T. Sulima, Z. Matheisel, Z. Batycki, D. Bekker i in./.

Budowa nowych gmachów była koniecznością przy tej liczbie przyjmowanych na studia oraz przy zamierzonym podziale wydziału. Trudności początkowo wydawały się nie do pokonania. Hasło „cały naród buduje stolicę” i rozpowszechniony pogląd /czy nie przez naczelne władze połączonych uczelni?/, że politechnika, zarówno jak uniwersytet zostały objęte w stanie nienaruszonym, z wyjątkiem potłuczonych szyb, a wobec tego nie potrzebują żadnych nakładów inwestycyjnych - zamykały przed nami wszystkie drzwi władz w Warszawie. Udało się jednak pokonać te opory. Dużo nam pomógł w Ministerstwie Szkolnictwa Wyższego dyrektor Dżuganowski, były wrocławianin, który orientował się w stanie rzeczy. W każdym bądź razie w 1947 roku uzyskaliśmy zgodę M.S.W. na budowę Nowego Gmachu Elektrycznego i bliźniaczego drugiego, przeznaczonego na planowany wówczas Wydział Lotniczy. Zwrócę tu uwagę na ówczesne stosunki w uczelni: jako dziekan załatwiałem sprawy związane z budową gmachu i organizacją

/podziałem/ wydziału bezpośrednio z władzami MSW, niejako ponad głową rektora, który niewiele pomagał, ale za to nie przeszkadzał. Ten styl pracy w naszym przypadku okazał się skuteczny. W ciągu 1947r. opracowałem założenia projektowe gmachu elektrycznego, projekt wykonali w latach 1948/49 profesorowie Przybylski i Brzoza, w roku 1950 /22 lipca/ zaczęto budowę i pod koniec 1950 mury były wyciągnięte „pod trempel”. Miała to być budowa priorytetowa, sztandarowa, ale wkrótce coś zaczęło się psuć w stosunkach uczelnia – władze, dysponujące mocą przerobową. Jednak pierwsze pracownie i zakłady wydziału, przede wszystkim Katedra Wysokich Napięć i afiliowany przy niej Zakład Materiałoznawstwa Instytutu Elektrotechniki /resortowy/ mogły się wprowadzić już w roku 1953/54.



Oba budynki - Elektryczny i Lotniczy - miały być budowane w dwóch etapach - w pięcioletku 1950-55 pierwsza część, obejmująca 2/3 kubatury, w następnej - 1955-1960 - pozostała część, w której miały się zmieścić katedry/miernictwa i maszyn/ pozostałe w starym ciasnym gmachu i katedry nowo powstałe /katedra elektroenergetyki/. Niestety, nastąpił wtedy okres „błędów i wypaczeń.” Nie mogę ostatecznie zupełnie pewnie twierdzić, w jakiej mierze była to nieprzychylność władz centralnych do inwestycji w politechnice, a w jakiej indolencja

ówczesnych władz politechniki - dziekana i rektora, że nie umieli czy nie chcieli walczyć o to. Pozostaje jednak smutny obraz tej indolencji w postaci niedokończonych gmachów, z nie otynkowaną ścianą szczytową i urwanymi schodami frontowymi. **Dowód polskiej /?/ niekonsekwencji czy niewydolności, którą Niemcy /wg prof. Steinhaus/ nazywają „Polnische Anfähigkeit”.** Być może, że okres 1950-1956 nie należał do pomyślnych i przychylnych dla nauki, ale z tego powodu nie należało zarzucać już wykonanych w połowie planów, choćby nie odpowiadały „aktualnym” prądom w architekturze. Zostawiać niewykończony kikut budowli, dlatego że obecnie jest „niemodna” chyba nie godzi się ze zdrowym rozsądkiem. Twierdzę przeciwnie, że **Gmach Elektryczny i /obecnie/ Inżynierii Sanitarnej są jedynymi monumentalnymi gmachami, na które do 1976 roku Politechnika się zdobyła, a 25 lat użytkowania wykazało, że założenia i projekt w pełni zdały egzamin użyteczności i wytrzymały próbę czasu bez remontu kapitalnego.** Trzeba pamiętać, że projekty były robione przy założeniu 100 studentów na roku, a więc maksymalnie 500 na wydziale. I nie przewidywało się „dzikich”, a uciążliwych sublokatorów w rodzaju Wydziału Budownictwa! To był jeden z kardynalnych błędów kierownictwa uczelni, którego nie jestem w stanie wybaczyć.

W latach 1946/47 i 1947/48 projektowaliśmy utworzenie wydziału lotniczego, wobec już rozpoczętej budowy WSK na Psim Polu. Organizacji miał się podjąć inż. Iwański-Bochenek. Sprawa natrafiła na opory różnej natury i - o ile mi wiadomo - Iwański ulokował się na Politechnice Warszawskiej. Potem projektowaliśmy powołanie wydziału mechanizacji rolnictwa, który miał organizować prof. Kanafojski. Jednocześnie proponowaliśmy z kolegą E. Kuczyńskim Ministrowi Przemysłu, aby polecił budować we Wrocławiu fabrykę maszyn rolniczych z wykorzystaniem ocalałych /ale całkowicie opróżnionych z wyposażenia/ hal po fabryce Linke-Hoffman, gdzie obecnie mieszczą się PAFAWAG i DOLMEL. Ówczesny minister Hilary Minc, z którym w tej sprawie odbyliśmy rozmowę ustosunkował się negatywnie do całej sprawy. Prof. Kanafojski też po pewnym czasie wyniósł się z Wrocławia. Wkrótce też nastąpił planowany przeze mnie od początku rozdział od mechaniki, formalnie 01.09.1949 r., a faktycznie jeszcze wcześniej działaliśmy jako niezależne oddziały. Dalszą konsekwencją był podział elektryki na elektrotechnikę i łączność. Z tą myślą udało mi się przyciągnąć z M. Poczty do Politechniki inżyniera Z. Szparkowskiego, który miał i kwalifikacje i zdolności organizacyjne do utworzenia wydziału łączności i zgromadzenia odpowiedniej kadry nauczającej. Powołanie formalne Wydziału Łączności nastąpiło z dniem 1 września 1952 r. /Monitor Polski nr A 73 z 1952 r./

Ówczesny okres pracy w Politechnice Wrocławskiej tj. 1946-49 mogę uważać za udany pod względem efektów organizacyjnych. Kierownictwo uczelni nie przejawiało większej inicjatywy, ale nie przeszkadzało. Wtedy satysfakcją było być dziekanem, prawdziwym gospodarzem wydziału...

Ważniejsze sprawy załatwiał się bezpośrednio w ministerstwie, z dyrektorem departamentu, czasem nawet wyżej. Jednak długo nie mogłem tego ciągnąć, gdyż organizowanie i budowa oddziału wrocławskiego Instytutu Elektrotechniki, budowa gmachu i wyposażenie Katedry Wysokich Napięć całkowicie mnie pochłaniały. Dyrektor Departamentu Szkół Technicznych MSW przychylił się do mojej rezygnacji.

Wracając do pytań natury osobistej na pytania nr 3
„Charakterystyka najbardziej twórczego okresu pana pracy”-
nie mogę dać jednoznacznej odpowiedzi. Moja działalność zawodowa i społeczna przedzielona jest cezurą okupacji na dwa różne okresy, nie pozbawione jednak powiązań przyczynowych.

Przed wojną, działalnością; która stymulowała moje zainteresowania naukowe było organizowanie Biura Znaku Przepisowego (SEP) od początku lat trzydziestych. Związane to było z opracowywaniem metod badania materiałów, projektowaniem aparatury probierczej, wnikanie w procesy technologiczne przemysłu, w zagadnienia surowcowe itd. Stąd wynikło nastawienie materiałoznawcze, a z nim przekonanie o konieczności powiązania wiedzy technologicznej z naukami podstawowymi, o potrzebie zajęcia się zasadami organizacji produkcji i kontroli w przemyśle, metodyką badań materiałów z zagadnieniami surowcowymi. Wykładałem wtedy - pierwszy w politechnikach polskich - materiałoznawstwo elektrotechniczne. Laboratorium Biura Znaku SEP co do jakości metod i organizacji było na poziomie podobnych w innych krajach, jak szwajcarskiego ASEV, czeskiego ESC holenderskiego KEMA, z którymi mieliśmy stałe, przyjacielskie stosunki.

Mając wówczas bliskie kontakty z produkcją i kontrolą fabryk krajowych wyrobiłem sobie przekonanie o nieodzownej konieczności kształcenia inżynierów elektryków w kierunku technologicznym, znacznie ważniejszym dla przemysłu, niż kierunki dotąd preferowane, jak konstrukcja maszyn elektrycznych, budowa sieci, elektrownie - dotąd dominujące na Politechnice Warszawskiej. W walce o ten kierunek, po pewnych sukcesach, ostatnio poniosłem porażkę w decyzjach programowych urzędników w MNSWiT. Ale to już inna historia.

Po wojnie okresem pracy, który mi dał wielkie zadowolenie z osiągniętych wyników było zorganizowanie energetyki dolnośląskiej, o

czym już wspominałem, Przyjechałem na ciężarówce Grup Operacyjnych jako „pełnomocnik” dosłownie sam, odchodziłem ze stanowiska dyrektora naczelnego sprawnie działającego zjednoczenia, zatrudniającego ponad pięć tysięcy nowych pracowników polskich w trzydziestu kilku zakładach energetycznych pracujących sprawnie, baz większych awarii. Wyniosłem stamtąd doświadczenie, że o powodzeniu przedsięwziętej działalności decyduje dobór właściwych ludzi do każdej pracy, a przy tym nieodzowny jest indywidualny, właściwy sposób podejścia do każdego człowieka. Kierując się tą zasadą chyba nigdy nie doznałem zawodu.

W Politechnice Wrocławskiej **moją pasją życiową stało się zorganizowanie Wydziału Elektrycznego**, zorganizowanie Zakładu Materiałoznawstwa Elektrotechnicznego i budowa Nowego Gmachu Elektrycznego. Obie instytucje działają nieźle, a co do gmachu, to mam tę satysfakcję, że założenia, które opracowałem w jakże ciężkich i niestabilnych warunkach roku 1947 zdały egzamin i pozostały słuszne po 30 latach, nawet przy zmienionych tak bardzo warunkach założeń, jak podwojenie liczby studentów i zaniechanie ukończenia budowy. Wszystko funkcjonuje zgodnie z założeniami, nawet gabaryt w dziesięć lat później wykonanych transformatorów i generatorów udarowych pasuje bezbłędnie.

Dwie koncepcje, moje ukierunkowanie prac naukowych podjęte w Politechnice Wrocławskiej zdały egzamin i są kontynuowane przez moich następców:

1. Kierunek materiałoznawstwa i technologii elektrotechnicznej.

Z mojej inicjatywy powstał w 1948 roku Zakład Materiałoznawstwa Elektrotechnicznego Instytutu Elektrotechniki, w którym jako jego kierownik do 1953 r. mogłem kształcić inżynierów-elektryków kierunku technologicznym. W Politechnice kierunek technologii, w miarę pogłębiania związku z naukami podstawowymi /fizyką dielektryków, chemią strukturalną, elektroniką, metrologią/ przeradza się w inżynierię materiałów elektrycznych. Wrocław jest obecnie uważany w Polsce jako jeden z ośrodków wiodących w tej dyscyplinie.

2. Krioelektrotechnika.

Drugą inicjatywą, która „chwyciła” było wszczęcie badań nad wykorzystaniem w elektrotechnice zjawisk zachodzących w bardzo niskich temperaturach. Zacząłem tę akcję w 1966 roku wbrew opiniom najwyższych autorytetów. Znalazłem zrozumienie wówczas jedynie u ministra Hrynkiwicza, ówczesnego ministra Przemysłu Maszynowego, który temat ten wstawił do planu Problemów Węzłowych na lata 1970-75 jako Problem 05-2-5. Obecnie możemy się pochwalić wynikami na poziomie prac zagranicznych - co do poziomu naukowego, ale nie co do nakładów materialnych np. nad pewnym tematem u nas pracuje kilku

ludzi, w ZSRR nad tym samym - paruset. Uczestniczymy w konferencjach zagranicznych, organizujemy u nas zagraniczne sympozja. Problem zainicjowany przeze mnie w odniesieniu do elektrotechniki rozrósł się w miarę- prac i obecnie figuruje w planie państwowym jako ogólny Problem Węzłowy 05-13 – Wykorzystanie kriotechniki w gospodarce. Muszę tu też wymienić przedsięwzięcia nieudane: próby wdrożenia produkcji krajowej izolatorów szklanych hartowanych do linii bardzo wysokiego napięcia oraz wykorzystanie dolnośląskich surowców ceramicznych do produkcji izolatorów liniowych średniego i wysokiego napięcia. Oba problemy były rozwiązane pozytywnie. Zostały przeanalizowane od strony teoretycznej, konstrukcyjnej, nawet ekonomicznej. Wykonano według naszych projektów i pod naszą kontrolą w zakładach przemysłowych próbne serie wyrobów - w Hucie Szkła w Pieńsku izolatory wiszące kołpakowe, a w Zakładach Ceramicznych w Ziębicach izolatory stojące 15 kV kamionkowe, które zmontowano na odcinku linii w okolicach Kłodzka; pracowały tam przez dłuższy czas. Obie proce rokowały duże oszczędności na porcelanie, opartej w znacznej części na surowcach importowanych i w ogóle droższej od obu opracowanych rozwiązań. I obie prace zostały przez przemysł zaniedbane, głównie z powodu niechęci energetyki do wprowadzania jakichkolwiek zmian. Ze strony najwyższych czynników rządowych przeważyła niechęć do inwestycji w przemysł o małym współczynniku rentowności. Dziś za to importujemy porcelanę wysokonapięciową skąd się da, a w razie braku importujemy izolatory szklane z ZSRR /ze Lwowa/...

Pytanie 4.

Charakterystyka najbardziej efektywnego okresu pracy dydaktycznej

Przed wojną wykładałem *Technikę Wysokich Napięć* w Państwowej Szkole Budowy Maszyn i Elektrotechniki im. Wawelberga, a w Politechnice Warszawskiej *Materiałoznawstwo Elektrotechniczne*, wykład nowy, wprowadzony w 1930 roku.

Poza tym *Podstawy Elektrotechniki dla chemików*. Ten ostatni wykład również w tajnej Politechnice Warszawskiej czasie okupacji. W Politechnice Wrocławskiej – te same trzy przedmioty. O ile *Technika Wysokich Napięć* jest przedmiotem klasycznym, od lat z mniej więcej ustalonym zakresem tematyki, to *Materiałoznawstwo* wymagało, jako przedmiot, dużego wkładu pracy. Owocem jej było wydanie podręcznika, który miał trzy wydania /dwa skrócone dla szkół zawodowych/ oraz dzieło zbiorowe pt. *Poradnik Materiałoznawstwa Elektrotechnicznego*, opracowane przez zespół, przeważnie moich uczniów.

*Z tych zapewne powodów w innych ośrodkach /nikt nie jest prorokiem we własnym domu/ życzliwi koledzy nazywają mnie pochlebnie **twórcą szkoły materiałoznawstwa elektrotechnicznego w Polsce.***

Pytanie 5 : Charakterystyka najbardziej istotnego okresu działalności organizacyjno-administracyjnej i społecznej

Właściwie na poprzednich stronach zostało prawie wszystko wyjaśnione.

Jeżeli chodzi o działalność organizacyjną w Politechnice, to mógłbym tylko uzupełnić, że byłem pierwszym redaktorem Zeszytów Naukowych Politechniki Wrocławskiej i pierwszym przewodniczącym Rady Seniorów. Z prac społecznych - byłem przez 2 kadencje członkiem O.R.Z.Z./ za przewodnictwa O.R.Z.Z, we Wrocławiu Logi Sowińskiego/, w latach 1945-50 radnym m. Jeleniej Góry, w latach 1949-50 przewodniczącym Oddziału Wrocławskiego NOT, przez parę lat wiceprezesem i przez 2 kadencje /4 lata/ prezesem Wrocławskiego Towarzystwa Naukowego. W Towarzystwie starałem się ożywić nieco ospałą atmosferę inicjując stałe, comiesięczne Czwartki Naukowe oraz sesje wyjazdowe /Turoszów, Lubin, DOLMEL/- których owocem były publikacje.

O działalności w PAN, której jestem członkiem rzeczywistym, nie piszę, ponieważ w małym zakresie dotyczy środowiska wrocławskiego.

W latach pięćdziesiątych uczestniczyłem aktywnie w akcji zwanej „współpraca z racjonalizatorami”. Wspominam z niechęcią tę działalność. Zbyt dużo w niej było pustostowania, deklaracji wzajemnych i „odfajkowywania”, a bardzo mało rzetelnych efektów. Może w innych dziedzinach techniki, np. w obróbce metali można się było doszukać jakiegoś pola do współpracy. Ja miałem z tych kontaktów i narad tylko niesmak.

Zagadnienia

*Przechodząc do omówienia zagadnień sformułowanych w części B ankiety, muszę zauważyć, że niektóre z nich - a nawet większość - były właściwie *implicite* omówiona w części A, przy referowaniu mojej działalności w uczelni. Pozostaje mi więc zwięzłe wypowiedzenie się na te tematy, bez dłuższych uzasadnień.*

1. Główne trudności szkoły.

W początkowym okresie: trudności kadrowe, trudności mieszkaniowe. Brak wyraźnej, zdecydowanej linii rozwojowej uczelni, decyzje od wypadku do wypadku zależnie od energii i zabiegów zainteresowanych osób np. sprawy niezrealizowane: wydziałów lotniczego, maszyn rolniczych, zaniechanie budowy Gmachu

Elektrotechniki, do którego wciska się katedry innych wydziałów, zakłócając jego konsekwentne zagospodarowanie itd.

2. Okres sprzyjający rozwojowi - pomimo obiektywnych trudności - był jednak w pierwszych latach /1947-50/ związany z mniejszym naciskiem władz ministerialnych i większą swobodą ze strony władz rektorskich, co ułatwiało skuteczne załatwianie spraw dydaktycznych, personalnych i inwestycyjnych przez zainteresowane jednostki /katedrę, wydział/ w szybszym tempie niż obecnie. Trudno nazwać ten okres świetnością, bynajmniej, ale to był okres dobrego startu, który potem został zahamowany.

Okres świetności Politechniki Wrocławskiej widzę w najbliższej przyszłości. Warunki obiektywne istnieją: jest wytknięta konsekwentnie linia rozwojowa, dostateczna baza materialna, kadra naukowa stale odmładzająca się, ustalona wysoko notowana pozycja wśród innych uczelni polskich, rozwinięte stosunki z pokrewnymi zagranicznymi ośrodkami naukowymi. Oby tylko nie zakłóciła tego rozwoju rozrastająca się biurokracja - ministerialna i własna.

Niestety, wzrost aparatu administracyjnego budzi już bardzo poważne obawy, że praca naukowa utonie w papierkowej działalności. Coraz to nowe i coraz liczniejsze, i grubsze dokumenty, produkowane przez kierownicze pionierzy obciążają biurokratyczną pracą na ostatnim szczeblu pracowników naukowych, których administracja powinna właśnie od funkcji takich uwalniać. Narzekają na to wszyscy - od asystentów do profesorów. Być może te szemrania nie dochodzą do najwyższych rejonów władzy. Ale dobrze by było rozważyć jakieś sposoby na przeciwdziałanie prawom Parkinsona, ujawniającym się w pełnym rozkwicie w urzędach Politechniki Wrocławskiej.

3. Zastój w rozwoju Politechniki trwał dosyć długo. Trudno mi wyznaczyć wyraźne granice, zwłaszcza, że rozbudowując oddział wrocławski Instytutu Elektrotechniki /od 1949r./, a następnie dysponując lokalem w nowym gmachu /1953r./ i dotacją z PAN na prace naukowe - nie wyczuwałem tych trudności w tej mierze, co cała uczelnia. Ale wnosząc np. z zahamowania kończenia budowy Nowego Gmachu Elektrycznego nie powoływanie nowych placówek naukowych określałem ten okres zastoju na lata 1955-1965. Przyczyny, jak sądzę, były rozmaite. W pewnym stopniu była to słabość kierownictwa Politechniki, nieumiejącego walczyć z władzami o interesy uczelni. Odnosiłem wrażenie, że negatywne było też nastawienie władz politycznych i rządowych do rozwoju uczelni. Pamiętam wypowiedź inż. Henryka Golańskiego, jako ministra szkolnictwa wyższego, że w interesie państwowym jest, aby najwyższe uposażenia były pracowników w przemyśle, niższe w instytutach resortowych, najniższe w uczelniach. Ta polityka oczywiście musiała dać opłakane wyniki dla uczelni

technicznych. Jeżeli jeszcze w dodatku nie dawało się prawie nic na inwestycje i urządzenia naukowe, to co miało przyciągać ludzi do pracy w wyższej szkole technicznej, katedrze lub w instytucie? Pracownik nauki „ideowy” może pracować za skromne wynagrodzenie, ale musi mieć do pracy odpowiednio wyposażony warsztat. A u nas niektóre katedry przez długie lata działały z wyposażeniem pozostałym jeszcze po Niemcach!

4. Co się tyczy środowiska naukowego w Politechnice Wrocławskiej, to mogę przede wszystkim wypowiedzieć jedną pozytywną opinię, znając mniej więcej stosunki w ważniejszych uczelniach technicznych w Polsce. A mianowicie, odnoszę wrażenie, że z niewielu wyjątkami, klimat wśród pracowników naukowych naszych instytutów jest dobry, mało jest sporów spowodowanych zawiścią czy „konkurencją zawodową”, nie słyszałem o jakichś intrygach, o co nie trudno w tak licznym zespole. Wydaje mi się, że każdy znajduje pole do pracy i miejsce w swoim zakładzie nie szkodząc innemu. Również współpraca z przemysłem, o ile mogę się zorientować przebiega pomyślnie i we właściwym zakresie. Oczywiście, nie mogę mówić, czy w jakimś instytucie nie stawia się na pierwszym miejscu obrotu i przerobu, zamiast interesującego naukowo tematu pracy. W instytutach, które znam bliżej, jest dobrze. Trudno mówić o jednolitym środowisku naukowym, ukształtowanym z pracowników Politechniki Wrocławskiej. Było i jest ich kilka, według specjalności, o różnej spoistości. Tak np. odnoszę wrażenie, że Mechanika tworzy silniejszy układ niż Architektura itd. Elektrotechnika i elektronika tworzą odrębne „wszechświaty wyspy”, pomiędzy którymi z trudem usiłują mosty przerzucić organizacje jak Towarzystwo Elektrotechniki Teoretycznej i Stosowanej. W tych środowiskach i mikrośrodowiskach nie ma jednolitości, są też ludzie uchylający się od wszelkich kontaktów społecznych /nomina sunt ociosa, ale chyba ich wszyscy znają/. Czy są u nas „szkoły” znaczące wiele w nauce polskiej – nie mogę się wypowiedzieć.

Trudno mi bardzo wypowiadać się o indywidualnych osobistościach i ich sukcesach. Znam parę nazwisk profesorów, dla których Wrocław był za małym terenem działania i uważali za korzystne dla siebie – a może i dla nauki polskiej – przenieść się gdzie indziej. Z mojego najbliższego terenu działania – elektrotechniki nie mogę niestety, wymienić nazwiska, które by trwale zapisało się w zakresie badań podstawowych. O wynikach nieudanych prac i przedsięwzięć oraz ich autorach wolę nie wspominać

5. Czynniki, które hamowały rozwój Uczelni - zdaje się już wymieniłem: brak konsekwentnej linii rozwoju politechniki, która tworzyła zbiór katedr czy instytutów często zawadzających sobie, walczących o miejsce i o etaty; nieprzychylnie lub co najwyżej obojętne nastawienia

władz politycznych i centralnych do rozwoju Politechniki i sytuacji materialnej kadr naukowych; niedostateczna energia /lub nawet jej brak/ w kierownictwie Politechniki do zwalczania oporów i przeszkód. W tych warunkach mogły się jako tako rozwijać tylko placówki uczelni, mające kadrę bardzo ofiarną, bądź poparcie z zewnątrz.

Sprzyjające początkowo warunki rzeczowe: zachowany, mało uszkodzony główny trzon budynków w r. 1945 i względna łatwość zagospodarowania okolicznych terenów w latach 1946-55 nie zostały wykorzystane. Największym zaniedbaniem Kierownictwa Politechniki w owych latach było niezabezpieczenie dla potrzeb uczelni całego terenu, objętego ulicami Wybrzeża Wyspiańskiego, Wrońskiego, Placem Grunwaldzkim, Curie -Skłodowskiej, łącznie z budynkami mieszkalnymi, wówczas niemal niezamieszkałymi i częściowo zniszczonymi. Było to wówczas możliwe do realizacji i zapobiegłoby takim nonsensom, jak ulokowanie szkoły podstawowej w obrębie gmachów Politechniki, lokowanie różnych zakładów z dala od centrali z wszystkimi kłopotami późniejszymi.

Kardynalnym błędem było dopuszczenie do przerwania rozbudowy w latach 1955-65. Niedokończenie Nowego Gmachu Elektrycznego, co było planowane właśnie na pięciolatkę 1955-60 spowodowało zagęszczanie części wybudowanej, ze wszystkimi niekonsekwencjami jak kasowanie kreślarni, przedzielanie pomieszczeń stropami -w ogóle deformowanie i psucie konsekwentnie pomyślanej całości. Późniejszą w latach 1965-70 podjętą akcją budowlaną, nadrabiającą opóźnienia, cechuje pośpiech w łataniu dziur i braków, ujawniający się w tandetnej barakowej architekturze, jak zabudowa Wybrzeża Wyspiańskiego od strony rzeki.

6. Idee, które znalazły grunt sprzyjający - już wyżej wymieniałem:

- 1. Materiałoznawstwo i technologia elektrotechniczna** następnie przechodzą w inżynierię materiałową, którą rozumiem jako technologię z mocną podbudową teoretyczną. Idea realizowana przeze mnie od lat – wbrew tendencjom M.S.W. Obecnie wielki program, którego kierownikiem jest mój następca w I-7, prof. L.Badian.
- 2. Krioelektrotechnika**, problem węzłowy 05-2-5 z mojej inicjatywy wprowadzony do Planu 1970-75, obecnie rozszerzony na kriotechnikę w Gospodarce Narodowej - Problem Węzłowy 05-13 na lata 1976-80. Wrocławski ośrodek jest wiodącym w tej tematyce, tematyce, a w krioelektrotechnice Politechnika Wroclawska-Institut Podstaw Elektrotechniki i Elektrotechnologii I-7.

3. Zagadnienia surowców ceramicznych i szkła w zastosowaniu do elektrotechniki rozwiązane u nas, częściowo wdrożone, częściowo zarzucone przez przemysł /p.w./

Na zakończenie wyrażam zadowolenie i wdzięczność dla Władz Politechniki Wrocławskiej za podjęcie inicjatywy i zachętę do skreślenia tych paru stron wspomnień i refleksji na temat przebytej drogi rozwoju Politechniki i mojego skromnego w tym udziału.

Nie wiem, czy uwagi te przydatne będą do dalszej działalności. W każdym bądź razie moim najszczerzym życzeniem jest, abym mógł być świadkiem Jej dalszej świetności, wzrostu autorytetu i dobrego imienia w kraju i za granicą.

Wrocław, dnia 1 lutego 1977 roku